TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II Nr. 8 151 East 67 Street, New York, N.Y. 19.II. 1942

Bibl. Jag.

Demokratyzacja kultury polskiej.

Postulat udostępnienia dorobku duchowego narodu wszystkim warstwom społeczeństwa był zawsze troską polskich sfer intelektualnych i jeżeli nie był w pełni przeprowadzony, to głównie dlatego, że wiąże się on z szeregiem innych problemów z dziedzin zupełnie odrębnych. Zanim dotkniemy niektórych niedostatków, których w przyszłości należałoby w imię dobra naszej kultury uniknąć, wypada przypomnieć, że wysiłki w tej dziedzinie były dość poważne a rezultaty bynajmniej nie małe.

Podstawą struktury polskiego życia kulturalnego było szkolnictwo, jedno z najbardziej nowoczesnych w Europie i zarazem najbardziej postępowych pod względem organizacji i metod wychowania. W Polsce powszechne bezpłatne nauczanie było zapewnione konstytucją. Wpływ radykalizmu,który w wielu punktach zgadzał się z teorją nowego wychowania w Stanach Zjednoczonych, mającą swój najlepszy wyraz w dziejach Johna Deweya, przenikał do polskiego szkolnictwa w tym sensie, że większego poparcia doznawały szkoły powszechne niż szkoły średnie. Jako zasadę przyjęto siedmioklasową szkołę powszechną. Jednak na wsi nieraz z konieczności zastępowały ją jednoizbowe szkoły, ze względu na rozproszenie osad ludzkich w danej okolicy. Nauczycielstwo szkół powszechnych, świetnie zorganizowane i odznaczające się wyrobieniem społecznem, prowadziło szeroko zakrojoną akcję samokształcenia na kursach wakacyjnych, to też polska szkoła powszechna stanowiła wysoce dodatni czynnik w wychowaniu nowego polskiego pokolenia. Rezultaty jej pracy uwidoczniły się w ciężkiej próbie narodu podczas walk wrześniowych, kiedy właśnie młodzież warstw pracujących, wychowana w atmosferze polskiej szkoły, zdała w tak niezapomnianie chlubny sposób egzamin patrjotyzmu.

Szkoła średnia była również bezpłatna, poza niewielką opłatą za zużyte materjały naukowe. Mimo jednak stosowania daleko idących zwalniań z tych opłat, zdolni uczniowie szkół powszechnych, szczególnie z warstw wiejskich, mieli dostęp dość utrudniony. Przedewszystkiem szkół tych było za mało i tylko mały procent kandydatów zyskiwał miejsca, przyczem dzieci urzędników miały praktycznie pierwszeństwo w kolejności przyjmowania. Bez szeroko zakrojonej organizacji systemu internatowego, opieki pozaszkolnej i rozdawnictwa sprzętu naukowego, dziecko chłopskie przebijało się przez szkołę średnią jedynie wielkimi ofiarami, nieraz kosztem

zdrowia i dorobku materjalnego rodziców. W ten sposób właściwie ginęły dla narodu spore zasoby potencjalnych sił twórczych. Polska inteligencja, zasilana przeważnie z miejskich warstw urzędniczych, była w ten sposób pozbawiona elementu społecznie najsilniejszego i najzdrowszego, ożywczego dopływu nowych sił ludowych. Nieliczne jednostki, które zdołały przedrzeć się przez wszystkie stopnie kształcenia, ginęły w morzu inteligencji miejskiej, przyjmowały wszystkie jej cechy, wady i nawyki, zamiast oddziałać na nią ożywczo. Co do dzieci robotniczych, sytuacja była łatwiejsza, gdyż szkoły średnie znajdowały się zawsze tam, gdzie były większe skupiska fabryczne, sprawa przeto utrzymania dziecka podczas nauki szkolnej była ekonomicznie prostsza.

Nie zamierzam bynajmniej krzywdzić inteligencji miejskiej, której nie można było odmówić szczerego patrjotyzmu. Dała tego dowody podczas oblężenia Warszawy, a szczególnie teraz w zaciętej walce z okupantem. W szarej jednak, mozolnej, codziennej pracy społeczeństwa nad dźwiganiem postępu duchowego narodu jej rola była raczej bierna. Pogrążona w materjalnych i zawodowych troskach, gubiąc kontakt z całością narodu, nie wykazywała tego dynamizmu społecznego, który właśnie jej powinien być właściwy. Zagadnienie kultury wsi naprzykład było dla niej czemś tak odległem, że prawie egzotycznem. Lekarze wolcli wegetować w miastach,niż osiedlić się w powiatach, gdzie czekał ich dobrobyt i praca społeczno-kulturalna. Kiedy Polskie Radjo poświęciło kilka godzin swego programu audycjom wiejskim, dopuszczając do mikrofonu rolników, młodzież wiejską, chóry i kapele ludowe, usiłując zobrazować kulturę polskiej wsi, spotykało się to do ostatniej chwili z zastrzeżeniem miejskich słuchaczy, którzy czas ten uważali dla siebie za stracony.

Widzimy więc, że demokratyzacja oświaty i kultury w ramach szkolnictwa, jakkolwiek w teorji przyjęta i powszechnie uznana, nie znalazła właściwego rozwiązania. Niewątpliwie w przyszłym polskim ustroju szkolnym luki te zostaną wypełnione. Powinna nastąpić zorganizowana gospodarka tkwiącemi w narodzie uzdolnieniami, przez ścisłe powiązanie poszczególnych stopni kształcenia. Na drodze zdolnego dziecka, z jakiejkolwiek sfery by pochodziło, nie może stawać ani brak miejsca w szkole ani trudność utrzymania go tam, gdzie ta szkoła się znajduje. Takie dziecko powinno mieć nietylko prawo do bezpłatnego kształcenia, lecz również dach nad głową, utrzymanie i opiekę. W ten sposób zapewni się dopływ nowych sił do polskiej inteligencji. Przestanie ona być odrębną klasą miejską, lecz stanie się mózgiem i zbiorowym wyrazem najlepszych dążeń całego narodu, szczytowem ucieleśnieniem jego najgłębszych socjalnych ambicji. Inteligent-chłop, czy inteligent-robotnik nie powinien być pojęciem paradoksalnem, tak jak nie jest np.w Szwecji, gdzie lekarz, pochodzący ze wsi, nie zrywa z nią rodzinnych i klasowych węzeł i często powraca na ojcowską zagrodę.

Zdaję sobie sprawę, że może za słabo podkreśliłem szczere tendencje demokratyczne decydujących w polskiem szkolnictwie czynników. Brak odpowiednich funduszów, jak to zaznaczyłem poprzednio, często wypaczał najlepsze zamierzenia. Dowodem tego był fakt, że stosowano bardzo szeroko ułatwienia stypendjalne wobec młodzieży z warstw robotniczych, która licznie zasiadała ławy szkół średnich obok młodzieży zamożniejszej. Jak już powiedziałem, sprawa była tu ekonomicznie bardziej uproszczona, gdyż młodzież ta mogła mieszkać w domach rodziców. Przeprowadzone ostatnio reformy szkolne, tak gorąco dyskutowane w Polsce, były dalszym krokiem w usiłowaniach zbliżenia szkoły do nowych warunków życia. Wiążąc szkołę powszechną z czteroklasową szkołą średnią jednolitym systemem naukowym i wykańczając ten gmach odrębnym dwuletniem liceum, zróżniczkowanem na humanistyczne i zawodowe, usiłowano przełamać zakorzeniony przesąd, że dziecko będzie socjalnie zdeklasowane, jeżeli nie ukończy humanistycznego wykształcenia. Na skutek tego przesądu Polska cierpiała na nadproduk-

cję nie przygotowanej do życia inteligencji, rozgoryczonej i szukającej schronienia na posadach urzędniczych. Nowa szkoła miała sformować nowoczesny typ inteligenta z przygotowaniem i zawodem technicznym. Inteligenta-rolnika, mechanika, technika, książkowego, kupca i t.d., który poza wykształceniem ogólnym miałby w ręku praktyczny zawód. Taka właśnie inteligencja mogła stanowić twórczy czynnik w życiu ekonomicznem narodu oraz w rozwoju zbiorowej kultury, jako element chłonny, wrażliwy, bo zdrowy społecznie.

/ Dalszy ciąg nastąpi/

Zenon Kosidowski

Koncert Szopena w Nowym Jorku.

Arturowi Rubinsteinowi i Arturowi Rodzińskiemu.

Kapelmistrz się pochylił, nisko spuścił głowę
A pianista nad wieko spoziera otwarte,
Z instrumentów się wzbiły ćmy błyskawicowe,
Gdzie lecą? Na karnawał? Na wojnę? Na wartę?
Patrz, welon z ciem i ptaków rozwinął się długi,
Kołuje nad orkiestrą i strzępi się w dole,
Teraz pachną zapachy i łączą się w smugi,
W sny chłopięce, mgły rzeczne i wierzby w padole,
Aż wszystko się zmieszało, buchnęło, jak wici,
I męczeńską rozkoszą przenika do kości:
Słuchamy przerażeni, szczęśliwi, pobici,
Słuchamy nie muzyki, słuchamy wolności.

Kto to jest, dwu przyjaciół czy też dwu aniołów,
Co rzuca w nas perłami ciężkiemi, jak ołów,
Rani nas i przebija i tak celnie strzela,
Że krew się zatrzymuje, od serca oddziela
I słychać nawet skrzep jej jak ścina się w ciszę,
Skrzypce drżą własnem echem, umilkły klawisze,
Rośnie spokój - aż serce omdlałe z anemji
Umiera w zachwyceniu. Chce spocząć w swej ziemi.

Ach, nie przed tłumem włóczyć się obcym w rozsypce
I o swą godność żebrać i o wielkość prosić,
Lepiej niż wszyscy ludzie wiedzą zwykłe skrzypce
Ile krwi stygnie w dźwięku, nigdy jej nie dosyć,
Bo, jak wtedy w Paryżu, dziś znów Arjel dumny
Ma fortepian podobny do dębowej trumny,
Przedziera się przed światem, idzie nocną gęstwą
I woła, że to rozkosz!
Słuchaj, to męczeństwo.

Lecz tamten wstrząsnął głową, ten wciąż jeszcze patrzy
Nad lśniące wieko, wgórę, prosto w naszą lożę.
I słyszę - coś mi szepce, i trochę pobladłszy,
W światło jakieś mnie strąca, szatańskie czy boże:
Mam w ręku dwa pożary, dwa ognie mam w skrzydłach,
Gwiazdy na dwu harpunach, na płonących widłach,
Księżyce, blachy złote, gotowe do dźwięku,
Uderzę teraz - niebo i piekło mam w ręku,
I taką pieśń podniosę, takie szczęście chwycę,
Że staniesz, ziemio, w ogniu, wolności, muzyce...

- Lecz oni grać przestali, wybuchnęły brawa,
Ktoś przebiegł kurytarzem, pewnie do artysty,
Może sen, może człowiek, może sama sława,
Wniebowzięcie i gorycz i los wiekuisty.

Kazimierz Wierzyński

Obowiązek tęsknoty.

"Więc może to i lepiej - że Ciebie tutaj niema
Możesz Polskę dotykać dziś rękami obiema.
Możesz stopy zanurzyć w szare piaski Mazowsza
Stale z Tobą jest Polska. Dawna - i ta:najnowsza
W ściszonym dziś miast gwarze, w ściszonym sosen szumie,
Jej głos... Jej głos rozumiesz - i Ona Twój rozumie..."

Nie jest to bynajmniej urywek poematu, znaleziony w pośmiertnych papierach któregoś z wieszczów po-listopadowej emigracji paryskiej ani fragment rymowanego pamiętnika sybirskiego zesłańca. Wiersz ten, w formie listu do brata w Polsce, pisze młody żołnierz w r.1941, internowany w jednej z wiosek szwajcarskich, Jerzy Brzozowski.

Tęsknota do kraju nie jest i nie była tylko chorobą wieszczów epoki romantyzmu. Epopeja życia polskiego, zamknięta w wizji dworku Soplicówm smętna melodja paryskiego mazurka Chopina - to tylko drobne fragmenty "polskiej nostalgji", która odżywa z zdwojoną siłą dziś, gdy wieści z Kraju dochodzą nas tylko w formie klepsydr i zarządzeń administracyjnych general-gubernatorstwa. Wejście Stanów Zjednoczonych do wojny ostatecznie zerwało i tak już wątłą nić wiadomości z Polski. Sporadyczne strzępy informacji, często tendencyjnej i wykrzywionej, otrzymujemy z wątpliwego źródła sztokholmskiego i na tym się kończy nasz jednostronny kontakt z najbliższymi, z domem i ziemią.

Właśnie w tym braku kontaktu z Krajem szukać należy źródeł nostalgji, tym gwałtowniejszej, że stoimy w obliczu wojny lat - nie miesięcy. Niedawno sekretarz stanu Knox stwierdził wyraźnie, że zarówno rewolucję w Niemczech jak i załamanie się frontu w Rosji należy uważać za pia desideria i włączyć w sferę marzeń. Doskonały znawca Niemiec, autor "Berlin Diary", William L.Shirer w ostatnim przemówieniu nowojorskim ostrzega, że wojna może potrwać i trzydzieści lat. H.R.Knickebocker idzie jeszcze dalej. Wątpi, czy obecne pokolenie dożyje końca wojny.

Jest to niewątpliwie przesada łatwo zmiennych nastrojów - ale ma ona swoje głębokie uzasadnienie w specyficznym charakterze tej najdziwniejszej z wojen, która zaczęła się blitzkriegiem a przechodzi w długoletnie może, wzajemne polowania na siebie okrętów wojennych na obu oceanach i obustronne niekończące się wizyty eskadr bombowych.

A tymczasem rok za rokiem płynie a Kraj się do nas nie zbliża. Żyje sam, zamknięty w sobie milczeniem cenzury i wewnętrznego buntu przeciw ciosom, które nań spadają, przetwarza się, przekuwa w inną, tę "najnowszą" Polskę poety. Nie znamy jej - ale do niej tęsknimy. Zmotoryzowana rzesza uchodźców, pędzona przed siebie kolejnemi katastrofami państw które nie były ani zwarte ani gotowe - zatraciła pojęcie przestrzeni ale zachowała pojęcie czasu a nawet je wyolbrzymiła tęsknotą do oddalającej się ojczyzny. Człowiek, walczący na własnym progu, nie liczy dni walki - interesuje go tylko jej wynik. Na obczyźnie - liczy nawet minuty, bo nie wie, czy zdąży paść na własnej ziemi, czy też podzieli los Sułkowskiego.

Uchodźcy, nie - żołnierzowi, grozi nierównie większe niebezpieczeństwo od normalnych skutków wojny światowej. Niebezpieczeństwo kom-

promisu ułatwionego życia z krajem, który mu ofiaruje gościnę i chleb. Niebezpieczeństwo przewartościowania wartości istotnych i zapomnienia celu swej tragicznej wędrówki po szosach i oceanach. Niebezpieczeństwo bezpieczeństwa i wypoczynku. Nieba wolnego od samolotów, nocy spokojnej i dnia, który przynosi dobrobyt.

Dlatego przypominanie o obowiązku tęsknoty za Krajem winno być dziś - jak niegdyś w epoce Hotelu Lambert - jednym z najszczytniejszych zadań polskiej literatury emigracyjnej i jej motywem przewodnim. Da jej ono wartość cierpienia i walki. Walki o duszę Polaka, na którego czeka jego wierny, biedny ale własny Kraj.

Odwołuję słowo "biedny", gdyż może być ono zrozumiane w sensie innym niż emocjonalnym. Przymusowa wędrówka po globie ziemskim, rozpoczęta w dniu 17-tym września, przekonała wszystkich snobów boleśnie i namacalnie, że jednak Polska, której tyle razy wykłuwano oczy wyższością t.zw."Zachodu" - ma wiele francuskiej kultury, holenderskiego porządku, angielskiej sztuki życia i amerykańskiego rozmachu pracy. Może nawet w daleko większym stopniu od pierwowzorów, jeżeli się zważy, czego dokonała w ciągu zaledwie dwudziestu lat na terenie zniszczonym wojną i niewolą bez niczyjej pomocy, niczyjej rady i niczyjej życzliwości.

Jerzy Tepa

Aby wyżyć się w awanturniczej przygodzie...

Menu obiadu było wybitnie pruskie - przeładowane ciężko-strawnemi potrawami, ale, na moją intencję, ucywilizowane dobremi winami francuskiemi. Ponieważ byłem jedynym gościem-cudzoziemcem, więc przypadł mi w udziale zaszczyt siedzenia po prawej stronie gospodyni. "Pan jest,jak przystało na Polaka, zapalonym frankofilem a nawet -wiem to od męża- zasiedziałym, z upodobania, paryżaninem". Pochyliłem twierdząco głowę,wyraźnie udając skruchę. "Nie podzielam i, przyznaję, nie jestem wcale w stanie zrozumieć tego zamiłowania pańskiego. Dla mnie - Paryż, to złe miasto /eine boese Stadt/. Mam dwuch synów - poznają oni z pewnością Paryż, będą tam, jak dorosną..." urwała zdanie w sposób nieoczekiwany gospodyni domu,pani H., żona generalnego dyrektora wielkiej berlińskiej firmy przemysłowo-handlowej S&N. "Pani zdaje się rzeczywiście nienawidzić Francuzów?"- zapytałem nieco zdziwionym tonem. "Nienawidzić? Ja?... Pan ma bardzo przesadny sąd o wartości Francuzów" - na wąsko zarysowanych ustach pani H. pojawił się lekceważący grymas. Mąż jej, który znał poglądy swojej żony i przysłuchiwał się naszej rozmowie, uznał za właściwe zrobić dywersję:"Z moim kolegą a pańskim vis-a-vis łatwiej dogada się pan na temat Paryża, mieszkał on tam dawniej i miał nawet własne biuro handlowe w okolicach Giełdy, ale musiał je przed kilku laty zlikwidować, bo Francuzi nie mają pojęcia o nowoczesnym sposobie prowadzenia interesów. Jeździ on i teraz czasem do Paryża -tak sobie, siłą dawnych,odległych wspomnień; pan dyrektor F. zna doskonale Francję z innej też strony - w ostatniej wojnie dowodził baterją polowych armat, z którą jeździł wzdłuż całego frontu. Pamiętasz, stary? To było życie!..."- westchnął z głębokim i szczerym żalem.

Pan H.już nikogo nie dopuszczał do słowa:"Jego sąsiad a mój drugi kolega, dyrektor R.,stanowi zupełnie inny typ: ma blisko pięćdziesiąt lat a święcie wierzy w to, że jeszcze wróci na stałe do Moskwy, gdzie mieszkał od najmłodszych lat aż do wybuchu wojny. To też mówi po rosyjsku, jak rdzenny Moskal i -widział pan- woli wódkę od szampana. Dyrektor R. należy do sztabu naszej "starej gwardji",która trzymana jest w odwodzie aż do chwili roztrzygającej bitwy o rynek rosyjski. Bo przecież to

jest jasne, że my tak czy inaczej, z bolszewicką czy carską Rosją musimy się dogadać - tam są nasze naturalne rynki zbytu, tam jest nasza cała przyszłość. Bez Rosji zadusimy się ekonomicznie i politycznie. Tymczasem dyrektor R. prowadzi polski dział exportowy, ale cóż to jest na nasze żołądki..."

Wracałem z Poczdamu do Berlina samochodem, który p.H.uparł się prowadzić osobiście pomimo naszych usilnych perswazji. Siedziałem przy nim i z wzrastającym niepokojem konstatowałem wpływ nadmiernej ilości kieliszków wina i wódki - po niemiecku zaprawionych niejednym kuflem piwa - na tempo naszej jazdy. Przyznaję, nie uśmiechała mi się perspektywa skręcenia karku, nawet w tak wspaniałym samochodzie, nawet z ręki aż generalnego dyrektora. Na domiar złego noc była wyjątkowo ciemna a ruch na autostradzie, pomimo późnej godziny, bardzo duży. Głupią rzeczą jest bezcelowe narażanie życia, tembardziej kiedy to dzieje się pomimo własnej woli, więc krzyknąłem:"Czemu pan pędzi, jak warjat - dokąd panu się spieszy?!" Wyraz jego oczu zrobił na mnie silniejsze wrażenie, aniżeli gorączkowe skoki wskazówki aparatu, notującego szybkość jazdy. Zmarszczył brwi, zacisnął usta i, nie zwracając uwagi na moje słowa, pędził dalej. Odetchnąłem z ulgą dopiero w Berlinie, kiedy w panu H. wrodzony respekt dla dyscypliny policyjnej wziął górę nad temperamentem pijanego junkra pruskiego

Przed drzwiami hotelu p.H. nagle otrzeźwiony,zaczął się tłomaczyć:"To, co panu wydało się zbytecznym pośpiechem, jest u mnie potrzebą szybkiej, warjacko szybkiej jazdy, by mieć poczucie niebezpieczeństwa.To mnie uspakaja - chwilowo,przynajmniej.Spróbuję panu wyjaśnić pewne rzeczy - może pan zrozumie nas.Mówię "nas", bo takich, jak ja, jest wielu, więcej, aniżeli pan przypuścić może. Przeszedłem całą wojnę - dosłownie ją przeszedłem, jako major piechoty, wzdłuż całego frontu, w okopach pierwszej linji. Ani ja, ani nikt w naszej rodzinie i żaden z moich przyjaciół-kolegów nigdy nie zapomni Wersalu. Tak nisko jeszcze nigdy Niemcy nie upadły. A musimy siedzieć i "trzymać pysk" /Maul halten/,bo taką politykę prowadzą nasi panowie z rządu. I już sześć lat przeszło od Wersalu, a nic się nie zmieniło. Kiedyż zjawi się u nas człowiek, który znów każe nam ścisnąć pięść i da nam sposobność walenia tą ściśniętą pięścią z całych sił. Kiedy?!..."-wpadając znów w jakiś szaleńczy zapał, krzyczał p.H. "W kogo walić?"-zapytałem spokojnie. -"W kogo?...we wszystkich,którzy nas otaczają - we wszystkich,którzy nam stają na drodze!". -"Na drodze...dokąd?" Wróciła mu odrazu przytomność:"My mamy swoją drogę, po której pójdziemy i którą dojdziemy. Aby tylko mieć cierpliwość i wyczekać... Czasem, często nawet trudno o tę cierpliwość. Żadna fabryka czy biuro nie dają wtedy uspokojenia. Wtedy chwyta mnie potrzeba przeżycia jakiejś karkołomnej przygody. Mam to z dzieciństwa jeszcze: każde poniżenie,przeżyte w szkole, każde zadraśnięcie mojego honoru studenckiego wywoływało we mnie zawsze tę samą reakcję - pogoń za niebezpieczeństwem. Żyć, w naszem pojęciu, warto, aby wyżyć się w awanturniczej przygodzie. Wszystko jedno, w jakiej... chociażby, jadąc po pijanemu z szybkością 150-u kilometrów na godzinę ciemną nocą. Tak,po pijanemu, bo wiem, ile wypiliśmy. Żałuję, że o tej porze bar hotelu jest już zamknięty, bo przydałoby się jeszcze nieco kieliszków dodać.Dla równowagi! Wraca pan do Paryża? To nieprędko chyba się zobaczymy..." Nie spotkaliśmy się od 1925-go roku.

Zygmunt St.Klingsland

Time bomb. Powieść.
Rozdział II

Nurse wyszła do poczekalni. Dużo dałaby za to, żeby mogła teraz usiąść w tym wygodnym fotelu, przy lampie, w tym czystym,przestronnym i ładnie umeblowanym pokoju. Tyle pięknych powieści przeczytała tu, kiedy przy chorych nie było zbyt wiele pracy. Czytała właśnie teraz wspaniały romans i obiecywała sobie, że skończy go jeszcze dziś podczas nocnego dyżuru. Taki cudowny opis wojny i takie straszne pożary i taka odważna Daisy...

Tu, w tej poczekalni spędzała najszczęśliwsze, a właściwie - jedyne szczęśliwe chwile życia. Bo kontakt z ludźmi jakoś nie dawał jej szczęścia. Ludzie byli tacy dziwni. Dawniej nie raz zaczynała opowiadać o tym, co czytała, ale nikt nie chciał słuchać. Wobec tego przestała opowiadać. Teraz już nawet pewnie nie umiałaby. Mówiła tylko do pacjentów i z lekarzami o pacjentach, a inne rzeczy przeżywała w książkach.

-Ładną mamy dziś pogodę - szeptała zaczerwieniona, gdy koniecznie trzeba było coś powiedzieć, ale i to nie przychodziło jej łatwo, bo wszyscy jakoś dziwnie uśmiechali się, choć sami mówili tak samo. Biedna miss Violet Pearson nie zauważyła, że mówiła to bez względu na stan pogody.

-Kurzy móżdżek- usłyszała, jak mówiły o niej pielęgniarki.

Wobec tego zamknęła się jeszcze mocniej i odpowiadała tylko uśmiechem. Informacje o pacjentach ubierała w formy lakonicznie krótkie.

-W nocy gorączka.

-Po injekcji sen.

-Wzór automatycznej obowiązkowości- nazywał ją żartobliwie profesor.

Nikt nie wiedział, jak nie raz biło jej serce nad czytaną powieścią, ale prawdą było, że coraz mniej widziała w życiu, a coraz więcej - na kartkach książek. I właśnie jak tę Daisy odznaczali krzyżem za waleczność, przyszedł nalot. Musiała przerwać w najciekawszym miejscu. Wojna to straszne barbarzyństwo.Czuła głęboką nienawiść do Niemców.

-Paskudni Niemcy- szepnęła, gdy musiała zamknąć książkę i wyjść do ambulansu z rannymi, który zajechał przed szpital. Potem nie było już mowy o czytaniu. Teraz nawet administrator Weber nie może czytać swojej gazety, choć co dzień po kolacji siadał też w tej poczekalni, rozkładał na stole ogromne arkusze Times'a i sylabizował przez parę godzin. Dziś nawet sam profesor nie mógł wrócić do swojej Lady Fair, choć tak się martwił, że biedne psisko zamknięte w domu nie rozumie co się na świecie dzieje. Nie miał nawet czasu pogadać z asystentem o tej nowej psychologji. Ona tego nigdy nie słucha, bo to strasznie nudne - to nie taka psychologja jak w powieściach psychologicznych - ale oni nie raz całymi godzinami gadają i przeszkadzają jej czytać. A dziś nie mogli. Na nic nie było dziś czasu przez tych paskudnych Niemców. Nawet nie było kiedy zaciemnić okien.

Spojrzała na dwór, myśląc gdzie szukać Webera. Okno wychodziło na dużą oszkloną werandę, za nią był trawnik z paroma starymi drzewami, a dalej uliczka i ładne małe domki wśród ogrodów. Teraz na niebie, rozjaśnionym drgającym światłem czerwonawej łuny, odcinały się ostro suche gałęzie drzew i ciemne kontury dachów. Od czasu do czasu ponury obraz ożywiał się snopem światła, wędrującego po niebie w poszukiwaniu samolotu, czasem -błyskami pękających pocisków dział przeciwlotniczych, czasem -upiornie białym światłem rakiety rzuconej z niemieckiego samolotu.

Miss Violet patrzała, ale nie wiele widziała. Dawniej nie raz marzyła, żeby zobaczyć coś takiego w życiu, nie tylko w powieści. Ale właściwie nie było na co patrzeć. Ani jakichś krzyków rozpaczy, ani wstrząsającej ofiary, ani rozkazu, który porywa ludzi, ani bohaterstwa, ani strachu nawet. Nawet ona sama, choć przecie bardzo jest wrażliwa, nie bała

się wcale. Nie raz więcej bała się pocisków, wybuchających na kartkach powieści, niż tych bomb. Gdy tylko się to skończy, a jej dyżur jeszcze nie minie, usiądzie sobie w tym fotelu i wróci do tej wojny w powieści, jeżeli tylko Weber poradzi coś na to światło. Ale gdzie go szukać? Gdzie on może być?

Z za okna dochodziły krzyki.

-Tu! Tu z piaskiem,John! Piasek! John!- ktoś wołał.

Zobaczyła sanitarjuszy, przebiegających z workami piasku. Równocześnie z sali operacyjnej dochodził brzęk instrumentów chirurgicznych i spokojny głos profesora.

-Pincetę proszę.

-Pompa ręczna na magazyn! Zapalająca jest na magazynie- wołał inny głos na dworze.

-Teraz tampon- mówił doktór.

Powietrze znowu przeszyły bliższe gwizdy bomb. Ludzie na dworze padli na ziemię.

-Ciągle rzucają- westchnęła zmartwiona miss Violet i wyszła na werandę. Chyba na dworze znajdzie Webera, jeżeli tam znowu lecą te bomby. Ale zauważyła na stole swoją książkę. Co za nieostrożność! Przecie mogłaby gdzieś zawieruszyć się w tym zamęcie, kiedy wciąż przychodzą te transporty rannych. To byłoby straszne. Wróciła więc do pokoju i starannie schowała książkę do szuflady. Nagle posłyszała głos Webera.

-Dach na pralni! Dach na pralni! Dwu z wężem na pralnię!- wołał na dworze.

Wyszła więc znowu na werandę, ale zawróciła jeszcze raz. Otworzyła szufladę, wyjęła książkę i schowała ją pod fartuch.

-Może nie być czasu na ratowanie książki, więc lepiej mieć ją przy sobie- pomyślała wychodząc.

Po małej jednak chwili była z powrotem. Oddechała ciężko i serce biło jej gwałtownie. Silniej nawet niż nad książką. Czuła, że działo się w niej coś dziwnego, czego nie rozumiała. Szybkim krokiem podeszła do sali operacyjnej i zatrzymała się w drzwiach. Profesorowi nie wolno przerywać, teraz jednak wolno jej wszystko. Teraz będą jej słuchali - może pierwszy raz w życiu.

-Przepraszam, że przerywam, panie profesorze- powiedziała cicho i spokojnie, a jednak tak że zdziwione pielęgniarki podniosły na nią oczy.

-Pali się.- Pielęgniarki rzuciły spłoszone spojrzenia na profesora.-Cały dach na pralni w ogniu- dodała mocniej.

-Słyszę, słyszę,miss Violet- odpowiedział wreszcie, jednak zupełnie spokojnie.-Ale co na to poradzimy...

-Proszę szybko kończyć operację, bo może trzeba będzie wynosić pacjentów do ogrodu- usłyszał dziwnie stanowczą decyzję.-Może jeszcze uda się opanować ogień, ale musimy być na wszystko przygotowani. Ja wracam tam i dam znać, jeżeli trzeba będzie ewakuować.

Wyszła z powrotem na dwór. Sama nie rozumiała, co się z nią stało. To chyba nie ona była. Gdzieś zniknęła bez śladu jej nieśmiałość i zamknięcie się w sobie. Czuła, jakby nie była sobą, jednostką żyjącą życiem oderwanym od całości, lecz całym szpitalem i pielęgniarkami i lekarzami i pacjentami, którym teraz grozi śmierć w płomieniach. Tak samo jak Weber nie był teraz sobą, kiedy stał przed płonącą pralnią. Tylko gazeta, która sterczała mu z kieszeni,przypominała dawnego Webera.

-Z siekierami na magazyn!Zdzierać dach!- wołał głosem, którego nikt w nim nie podejrzewał. Znowu zagwizdały w powietrzu bomby i wszyscy padli na ziemię.

-Na ziemię! Na ziemię,miss Violet! -krzyknął na nią, ale ona była już na drabinie. Przytrzymując ręką swoją książkę ukrytą za fartuchem, wchodziła na dach z siekierą.

-To jak w powieści- pomyślała. I ten profesor taki spokojny, i ten Weber w świetle pożaru, i ona...odważna jak ta Daisy.

/Dalszy ciąg nastąpi/

Antoni Cwojdziński

Decyzja Hitlera z dnia 9-go października 1941.

/Wyjątek z większej pracy o kampanji rosyjsko-niemieckiej/.

Sukcesy armji niemieckich na froncie francuskim były wynikiem strategicznego opanowania wgłąb terenu walk, przez oddziały pancerne, zdolne do wykorzystania strategicznie operacji przełomowych. Jednostki bowiem pancerne niemieckie były w możności operacje te przeprowadzać samodzielnie, a sztab niemiecki był w stanie łączyć te operacje głęboko za frontem nieprzyjacielskim w jedną wielką bitwę strategiczną, oskrzydlającą całość armji nieprzyjacielskiej. Rozpiętość frontu operacyjnego nie przekraczała we Francji 300-400 km. Głębokość operacji strategicznych nigdy nie przekraczała 150-200 km. Armje niemieckie posuwały się nietylko wzdłuż rozbudowanej sieci komunikacyjnej, ale w dodatku sieć tę zagarnęły w dużej mierze niezniszczoną.

Na froncie rosyjskim rozpiętość frontu wynosiła 1000-1500 km. Sieć komunikacyjna była niezmiernie uboga. Żołnierz rosyjski swoją wolą walki zmuszał oddziały niemieckie do gruntownego likwidowania osaczonych oddziałów rosyjskich, co opóźniało operacje; głębokość operacji przekraczała odległość 100-150 km, dozwoloną jako granica oddalania się jednostek pancernych od swoich baz zaopatrzenia. Te wszystkie elementy wpłynęły na niemożność połączenia trzech powiązanych strategicznie operacji - na Ukrainie, w rejonie Moskwy i w rejonie Finlandji - w jedną wielką bitwę, oskrzydlającą całość armji rosyjskich.

Kampanja w tej pierwszej fazie przekształciła się w szereg poważnych operacji strategicznych, niszczących szeregi armji nieprzyjacielskich i dużą ilość sprzętu. Ale operacje te torowały dopiero drogę prowadzącą do celu ostatecznego, osiągalnego jednak dopiero w drugiej kampanji wiosennej w roku 1942.

Sztab niemiecki niezawodnie uznawał podciągnięcia ośrodków zaopatrzenia do linji frontu oraz budowę całego szeregu lotnisk za element pierwszorzędnej wagi. Jak sądzić można z mów Hitlera, że nie doceniał zdolności bojowej nieprzyjaciela. Będąc odpowiedzialny za plany strategiczne doradzać musiał - i zapewne doradzał - zatrzymanie operacji w tej korzystnej dla niemieckich armji fazie kampanji.

A jednak człowiek kierujący całością zadecydował inaczej. Dlaczego?

Rozkaz dzienny Hitlera z dnia 9 października świadczy, że nakazy strategji wojennej, ustalone przez wybitnych mistrzów sztuki wojennej, nie zostały uszanowane. Hitler - i to jest jedyne wytłomaczenie - prawdopodobnie nigdy w swoim planie nie dopuszczał możliwości rozbicia kampanji rosyjskiej na dwie fazy. W jego kalkulacji pobicie i rozbicie Rosji miało nastąpić w r. 1941. Tak nakazywał ustalony kalendarz. Nie wiemy dzisiaj, czy z końcem sierpnia generałowie opierali się nakazowi rozpoczęcia drugiej fazy po 9-ym października, czy też nie. Nie wiemy, jak dalece Hitler, tak zresztą jak kiedyś Bismarck, nie znosi opozycji! Okres poprzedzający kampanję francuską świadczyłby, że wówczas rad swych wojskowych ekspertów słuchał. Natomiast w październiku roku 1941 Hitler nakazał, zdaje się mimo zastrzeżeń generałów, rozpocząć nowe natarcie celem rozbicia armji rosyjskiej i zajęcia Kaukazu jeszcze w r. 1941.

Cel nieosiągalny!

Dnia 10 grudnia, po nastaniu szalonych mrozów, sztab niemiecki wstrzymał nowe operacje ofenzywne. Po tej decyzji Hitler szukał kozła ofiarnego. Brauchitsch został usunięty - Hitler sam objął dowództwo.

Krok ten był logiczną konsekwencją decyzji powziętej dnia 9 października. Armji niemieckiej narzucono zadanie nie do wykonania. Hitler, jako kierownik całości, ustalający ramy strategji ogólnej, naruszywszy reguły gry, musiał ponieść konsekwencje.

Dzień 9 października był więc dniem znamiennym. Wtedy to rozgraniczenie kompetencji i odpowiedzialności kierownika ustalającego ramy strategji ogólnej a właściwym wodzem naczelnym sił zbrojnych zostało niezawodnie naruszone. Należy więc zadać sobie pytanie, czy dzień 9 października nie będzie punktem zwrotnym, oznaczającym osłabienie kierownictwa strategicznego w obozie Hitlera? Na to pytanie odpowie najbliższa przyszłość.

Możliwe, że Hitler, nominalny wódz sił zbrojnych, znajdzie następcę Brauchitscha w osobie innego zdolnego generała. Przesilenie może ograniczyć się do zmian personalnych. Jednak możliwe też jest, że Hitler zamierza obecnie prowadzić grę we wszystkich jej fazach samodzielnie. W takim wypadku Mat mógłby nastąpić nieoczekiwanie, nie tyle dzięki dobrej grze przeciwnika, ile na skutek błędów niepowołanego gracza.

Niemcy rozpocząwszy ofenzywę drugą, wbrew wszelkim regułom strategji, stanęły wobec nowej przeszkody, którą jest surowa zima. Żołnierz niemiecki próby tej nie wytrzymał fizycznie. Po części dlatego, ponieważ zabrakło ciepłej odzieży. Ofenzywę wstrzymano i oddziały zaczęto wycofywać, przegrupowując armję z dyspozycji ofenzywnej w defenzywną. Gros sił niemieckich prawdopodobnie znajduje się już poza rejonem walk. Moskale korzystając z sprzyjających warunków rzucili do walki świeżo przybyłe oddziały z Syberji, niestety słabo wyposażone w sprzęt bojowy. Liczebnie zaczęli górować nad oddziałami osłonowymi niemieckiej armji. Jak daleko front będzie cofnięty, dzisiaj przewidzieć trudno. Wszystko zależy od tego, w jakim stopniu zima podkopała moralną i fizyczną odporność niemieckiego żołnierza.

Zatrzymanie ofenzywy niemieckiej, a zwłaszcza zaniechanie przez dowództwo niemieckie dalszych działań na południu, mających na celu dotarcie do Kaukazu, nie tylko udaremniło kalendarz niemieckich działań wojennych na r.1941, lecz ocaliło Aljantów - być może - od katastrofy. Gdyby bowiem Niemcy były otworzyły sobie bramy wypadowe Kaukazu, sytuacja Wielkiej Brytanji w Egipcie byłaby nie do utrzymania.

Roman Michałowski